



Nic

# o nas bez nas: polityka skali a demokracja miejska

LECH MERGLER  
KACPER POBŁOCKI

W czasie, gdy media ogólnopolskie ekscytowały się bojami przed Pałacem Prezydenckim, w kilku polskich miastach wyrosły krzyże, których znaczenie było zgoła odmienne. Pod koniec lipca na poznańskich Ratajach osiedlowy społecznik postawił między blokami kilkumetrowy krzyż z tabliczką „Krzyżu św. – wyrwij ze szponów szatana nasze boisko sportowe”. Chodziło o firmę deweloperską, która otrzymała od miasta wstępną zgodę (tzw. warunki zabudowy) na postawienie na terenie zieleni kolejnego bloku. „To jest mój krzyk rozpaczny” – mężczyzna tłumaczył mediom. – „Zrobiłem wszystko, żeby zatrzymać inwestorów. Jeśli sądy nie pomagają, to może krzyż pomoże”<sup>1</sup>.



Powszechne w Poznaniu stało się przekręcanie hasła „miasto *know-how*” w „miasto *hau hau*”.

Ów „akt rozpaczny” obnaża kilka istotnych mankamentów współczesnej polskiej demokracji. Po pierwsze, pokazuje słabość mieszkańców w konfron-

tacji z biznesem oraz to, że administracja miejska bardzo często wspiera interesy prywatnych firm, a nie mieszkańców. Po drugie, ukazuje wyjałowienie polskiego dyskursu publicznego z pojęć i symboli należących do domeny obywatelskiej oraz dominację „polityki symbolicznej” nad dyskusją o realnych kwestiach. Po trzecie, wskazuje na aktywizację mieszkańców, którzy od kilku lat, obecnie w zasadzie na obszarze całego kraju, zaczęli domagać się współudziału w kształtowaniu otaczającej ich przestrzeni, egzekwować swoje „prawo do miasta”<sup>2</sup>.

## Polskie dyskursy miejskie

Ratajski krzyż wymierzony był nie tylko w deweloperów „dziko” dogęszczających zamknięte architektonicznie osiedla, ale także w dominujący obecnie dyskurs miejski. Można zawrzeć go w hasło „miasto to firma”. Wynika on z logiki neoliberalizmu, konkurencji między miastami na światowym rynku przyciągania inwestycji oraz z odejścia od tego, co David Harvey nazywał „miastem Keynesowskim” (w którym głównym celem polityki miejskiej było zarządzanie zbiorową konsumpcją przede wszystkim usług i dóbr publicznych), w stronę „miasta przedsiębiorczego”, którego priorytetem jest stworzenie „dobrego klimatu biznesowego”<sup>3</sup>. W tej logice miasto musi przede wszystkim przynosić zysk – a wszystko to, co nie daje zysku bezpośrednio, jest obcinane. Według tej logi-

1. Por. Justyna Suchecka, Michał Wybieralski, *Krzyżem w dewelopera, czyli protest na Ratajach*, „Gazeta Wyborcza” (Poznań) 2010, 29 VII.
2. Por. David Harvey, *Prawo do miasta*, „Le Monde Diplomatique” 2009, nr 38.
3. Por. David Harvey, *Neoliberalizm: historia katastrofy*, Książka i Wiedza, Warszawa 2008. Por. Kacper Pobłocki, *Knife in the Water: The Struggle over Collective Consumption in Urbanizing Poland*, [w:] *Communism Unwrapped: Consumption in Postwar Eastern Europe*, pod red. Pauliny Bren, Mary Neuberger, Oxford University Press, w druku.



ki infrastruktura miejska powinna zawsze „na siebie zarobić” i stąd rodzą się pomysły takie jak ten, żeby likwidować „nierentowne” przystanki tramwajowe. Świetnym tego przykładem jest kampania marketingowa „Poznań miasto *know-how*”, w której spot telewizyjny Poznania składał się z sekwencji znaków firmowych korporacji, mających w tym mieście zakłady bądź siedziby. Miasto zostało utożsamione z firmami, które dzięki temu dostały od podatników darmową reklamę w ogólnopolskich mediach.

Powyższą strategię można również „wyczytać” z tkanki miasta. Na przykład windy na moście Dworcowym, które pozwalają osobom niepełnosprawnym lub z dużym bagażem zejść z wiaduktu na poziom dworca PKP, zostały umiejscowione tak, aby najwygodniej z nich było korzystać osobom wychodzącym z siedziby Targów Poznańskich, chcącym szybko dojść na peron. Użytkownicy miejskiego transportu publicznego, aby skorzystać z wind, muszą pokonać dodatkowo trzy przejścia na pasach (i światła). Decyzja, by windy wybudować przy schodach łączących dworzec z Targami, a nie przy identycznych schodach po drugiej stronie tej samej ulicy, które łączą bezpośrednio dworzec z przystankiem tramwajowym, pokazuje niezbitą priorytety władzy: nie służy ona mieszkańcom, ale elicie biznesowej, która jako jedyna ma pełne „prawo do miasta”.

Dyskurs miasta jako firmy wykształcił kilka kontrdyskursów. Powszechne w Poznaniu stało się przekręcanie hasła „miasto *know-how*” w „miasto hau hau”. Oprócz ośmieszania języka władzy pojawiły się poważniejsze odpowiedzi. Można je sklasyfikować w pięciu grupach. Po pierwsze, mamy dyskurs tego, co E.P. Thompson nazwał niegdyś „gospodarką moralną”<sup>4</sup>. Jest on odpowiedzią na utowarowienie przestrzeni miejskiej oraz na tezę o „świę-

tości” (czyli nietykalności) własności prywatnej. Do tej grupy należy działanie ratajskiego społecznika. Stawiając krzyż tam, gdzie chciał mieć boisko, dał on do zrozumienia, że „nie wszystko jest na sprzedaż” i że pewne obszary miasta nie powinny podlegać logice wolnego rynku. Użył do tego argumentów z dziedziny tych „ostatecznych”, twierdząc, że deweloper postępuje „nie po chrześcijańsku”.

Po drugie, mamy dyskurs „kapitalizmu kumpłowskiego” (*crony capitalism*), czasami opisywany jako język „układu”, „towarzystwa” lub – jak ostatnio – „zblatowanych elit”<sup>5</sup>. Wskazuje on na to, że relacje, przede wszystkim między władzą a biznesem, które teoretycznie powinny być sformalizowane (a zatem pod demokratyczną kontrolą obywateli czy mediów), są nieformalne i nietransparentne. Zamiast „niewidzialnej ręki rynku” mamy zatem „niewidzialny łokieć”: ci, którzy lepiej radzą sobie w przepychankach na korytarzach władzy, mogą czerpać zyski z preferencyjnego traktowania. Mimo że teoretycznie pozwolenia na budowę powinny być wydawane na podstawie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, tylko 15 procent powierzchni polskich miast jest nimi pokryta. W pozostałych przypadkach (tak było na Ratajach) decyzje wydaje się często w zaciszu gabinetów<sup>6</sup>.

Po trzecie, pojawił się dyskurs krytykujący lokalny „kapitalizm raubritterski”. Często dezaprobuje on politykę prywatyzacji zasobów miejskich, gdyż traktuje ją jako „wyprzedaż sreber rodzinnych”, zwraca uwagę na nadmierne zadłużenie miast<sup>7</sup> oraz „gigantomanię” w decyzjach inwestycyjnych<sup>8</sup>. Na przykład w dyskusji nad budową ogromnych Term Maltańskich mówiono, że za te same pieniądze można stworzyć kilkanaście basenów osiedlowych. Tak samo podważano tezę o zasadności

4. Por. Edward Palmer Thompson, *Customs in Common: Studies in Traditional Popular Culture*, The New Press, Londyn 1993.

5. Por. Tomasz Polak, *Zblatowane poznańskie elity i ich gladka kultura*, „Gazeta Wyborcza” (Poznań) 2010, 21 VIII.

6. Więcej na ten temat: Kacper Pobłocki, *Złe miasta w trzech odsłonach*, „Le Monde Diplomatique” 2009, nr 44, s. 12-13.

7. Por. artykuł *Kiedy miasto nie ma z czego przeżyć do pierwszego* Tomasza Kasprowicza w tym numerze „Res Publici Nowej”.

8. Por. Krzysztof Nawratek, *Zmiany przyjdą same* [online]. Dostępny w internecie: <http://www.krytykapolityczna.pl/Serwisamozradowy/NawratekZmianyprzyjdasame/menuid-403.html> [dostęp: 24.09.2010].

wykorzystania 710 milionów zł z miejskiej kasy na przebudowę stadionu Lecha. Argumentowano, że prezydent nie przedstawił sensownego biznesplanu dla tych inwestycji i że nie jest, wbrew zdaniu niektórych, „wybitnym ekonomistą”, bo nie myśli długoterminowo. Prawdziwy kapitalista, wedle tej linii argumentacji, czasem powinien podejmować decyzje, które według logiki szybkich i łatwych zysków mogą wydawać się „nieopłacalne”. Utrzymywanie „nierentownych” przystanków tramwajowych może w przyszłości poprawić mobilność mieszkańców, co dobrze wpływa na rynek pracy, a to przynosi wymierne efekty gospodarcze. Podobnie zamiast ogromnego stadionu lepiej tworzyć osiedlowe orliki, które w dłuższej perspektywie lepiej przysłużą się mieszkańcom oraz miastu.



„Okoliczni mieszkańcy” coraz częściej traktowani są przez media jako „eksperci”.

Po czwarte, mamy dyskurs „paternalizmu władzy”, który nasilił się latem w kontekście sprawy konfliktu między wiceprezydentem Hincem a artystami Teatru Ósmego Dnia. Fakt, że prezydent wezwał artystów na dywanik i skarcił za korzystanie z wolności słowa, wywołał oburzenie na arogancję władzy. Pojawiają się też w tej sprawie odniesienia do okresu PRL-u oraz analogie między partią obecnie rządzącą a PZPR-em – obecna demokracja skurczyła się do zmitologizowanego aktu wyborczego, zatem ci „na górze” jak dawniej „robią swoje” i wciąż twierdzą, że lepiej wiedzą, czego potrzeba tym „na dole”. Stąd wynika często krytykowana fa-

sadowość obowiązkowych obecnie „konsultacji społecznych”, podczas których władza daje się ludziom „wygadać”, a potem i tak robi to, co sama uważa za słuszne. Wreszcie, wciąż istotny jest dyskurs „równoważonego rozwoju”, używany przez środowiska ekologiczne. Dla władz tereny zieleni, takie jak te bronione przez ratajskiego społecznika, to głównie „chaszczce” lub „nieużytki”, które jak najszybciej należy „zagospodarować”. Ten kontrdyskurs zwraca uwagę na to, że zieleń miejska jest kluczowa dla prawidłowego rozwijania się miasta oraz dla dobra mieszkańców (zdrowie fizyczne i psychiczne, odpoczynek).

Oczywiście w realnych działaniach kontrargumenty najczęściej pochodzą z kilku kategorii na raz. Na przykład hasło „Miasto to nie spółka z o.o.” po pierwsze drwi ze sloganu „Miasto *know-how*”, po drugie obnaża zorientowanie miasta na szybki zysk oraz politykę wypierania się przez władzę odpowiedzialności za konsekwencję własnych decyzji. Jednakże wszystkie kontrdyskursy łączy fakt, że będąc w opozycji do dyskursu dominującego, są na zasadzie przeciwieństwa wciąż z nim związane. Jednocześnie w kilku miejscach wychodzą one poza debatę narzuconą przez lokalne władze i tworzą zupełnie nową przestrzeń semantyczną, nowe pojęcie dobra wspólnego oraz nową wizję rozwoju miasta. I to właśnie ten nowy język dobra wspólnego, to wypełnienie treścią hasła „prawa do miasta”, nie do końca jeszcze zauważone przez media ogólnopolskie, zasługuje na szczególną uwagę<sup>9</sup>.

## Polityka skali

Okoliczności pojawienia się oddolnej, obywatelskiej przestrzeni publicznej wyjaśnia to, co Neil Smith nazwał niegdyś „polityką skali”<sup>10</sup>. Przestrzeń można postrzegać jako składającą się z kilku „warstw”

9. Por: Peter Marcuse, *Prawa w miastach a „prawo do miasta”* [online]. Dostępny w internecie: <http://www.my-poznaniacy.org/index.php/nasze-idee/prawo-do-miasta/352-prawa-w-miastach-a-prawo-do-miasta> [dostęp: 27.03.2010]. Por. również artykuł Arjuna Appaduraja: *Głęboka demokracja – zarządzanie miejskie i horyzont polityki* publikowany w tym numerze „Res Publici Nowej”.

10. Por: Neil Smith, *Uneven development: nature, capital, and the production of space*, trzecie wydanie, Verso, Londyn 2010.



– skal, przede wszystkim globalnej, narodowej i lokalnej. Każdą z nich, oczywiście, można rozbić na mniejsze jednostki. Dotychczas partycypacja obywateli w „demokracji lokalnej” instytucjonalnie oraz zwyczajowo była skoncentrowana na najmniejszej skali – ulicy, sąsiedztwa czy osiedla. Przejawia się to w charakterystycznej frazie, nagminnie używanej przez media: protesty okolicznych mieszkańców. Tak m.in. relacjonowano sprzeciw wobec lokalizacji bazy F-16 na poznańskich Krzesinach – mimo że mieszkańcy innych dzielnic przychodzili na organizowane tam demonstracje, a hałas doskwierał w zasadzie wszystkim poznaniakom. Słowem kluczowym jest tutaj NIMBY – „not in my backyard”, sugerujące, że mieszkańcy zwykle bronią swoich zaściankowych interesów – pojęcie akademickie czasami nawet używane w wypowiedziach urzędników miejskich.



Nadanie koalicji kilkudziesięciu organizacji nazwy „My Poznaniacy” miało na celu odebranie władzy monopolu na wypowiedzanie się w imieniu wszystkich mieszkańców.

Władza z kolei ma monopol na skalę ogólnomiejską i to ona jako jedyna może reprezentować interes całego miasta. To jest najczęstszy argument przeciwko racjom „okolicznych mieszkańców”: wybronicie swojego, ale my musimy patrzeć na to szerzej. Układ ten zachwiał się w Poznaniu podczas jedenastu miesięcy publicznej debaty, zakończonej uchwaleniem Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego, swoistej konstytucji przestrzennej miasta, w styczniu 2008. „Okoliczni mieszkańcy” z wielu zakątków Pozna-

nia zaczęli spotykać się na posiedzeniach różnych komisji Rady Miasta i zorientowali się, że oprócz partykularnych interesów mają też sporo interesów wspólnych. Władza bardzo często próbowała nastawiać poszczególne grupy mieszkańców przeciwko sobie, prowadząc jednostronne rozmowy z każdym z osobna, ale nigdy razem. Nadanie tej koalicji kilkudziesięciu organizacji nazwy „My Poznaniacy” miało właśnie na celu po pierwsze odebranie władzy monopolu na wypowiedzanie się w imieniu wszystkich mieszkańców, po drugie przeskoczenie (*jumping scales*) ze skali „fyrtila” na skalę ogólnomiejską<sup>11</sup>.

Batalia o skalę ogólnomiejską toczyła się głównie w mediach, dzięki temu w ciągu ostatnich dwóch lat wytworzył się w poznańskiej przestrzeni publicznej alternatywny ośrodek, który wypowiada się w kwestiach rozwoju całego miasta. Był to jednak długi proces. Na przykład w konflikcie o park Rataje (władza zezwoliła na zabudowę terenu, który mieszkańcy od 40 lat pragną przeznaczyć na cele rekreacyjne), media bezkrytycznie przyjmowały argumenty władzy, mimo że często mijały się one z prawdą. Tak było z kwestią wysokiego odszkodowania, które rzekomo miasto musiałoby wypłacić deweloperowi. „Nie stać nas na ten park”, powtarzał magistrat, „bo musielibyśmy za wykup gruntów zapłacić 100 milionów złotych”. Co z tego, że kwota ta została obliczona na podstawie decyzji unieważnionej przez sąd, i co z tego, że dawałaby deweloperowi zysk rzędu 1600 procent. Niezmiernie często można było usłyszeć zdania typu: „Park Rataje będzie miasto kosztować 100 milionów”, a później wzmianka o treści: „działacze My-Poznaniacy uważają, że jest to kwota zawyżona”. To, co mówiła władza, opisywane było jako fakt, zaś wypowiedź mieszkańców określano jako opinię. W tej chwili „okoliczni mieszkańcy” coraz częściej traktowani są przez media jako „eksperci”, którzy nie tylko, w przeciwieństwie do obecnych władz, myślą holistycznie o rozwoju miasta, ale którzy też, dzięki międzynarodowym

11. Lech Mergler, *Solidarność mieszkańców to nie utopia*, 19 listopada 2010 [online]. Dostępny w internecie: <http://www.krytyka-polityczna.pl/Serwissamorzadowy/MerglerSolidarnosc mieszkancowtonieutopia/menuid-403.html> [dostęp: 19.11.2010].

kontaktom<sup>12</sup>, ukazują „zaściankowość” obecnych włodarzy Poznania. Gdy prezydent chwali się zwycięstwem w kolejnym ogólnopolskim rankingu miast, jego krytycy natychmiast przypominają, że w skali europejskiej Poznań jest na szarym końcu, a zatem bycie liderem ligi okręgowej nie jest powodem do dumy.



Niestety demokracja w Polsce skupia się na akcie wyborczym, a jednocześnie ignoruje lub wręcz obawia się bezpośrednich form współuczestnictwa obywateli w rządzeniu.

Władza dość szybko rozpoczęła kontratak w walce o skalę. Trzy miesiące po uchwaleniu Studium zainicjowano „reformę” rad osiedli w Poznaniu – głównego przyczółku niezadowolenia. Poznań, w odróżnieniu np. od Krakowa, nie ma osobnej administracji osiedlowej. Po 1989 roku w wielu, choć nie wszystkich, częściach miasta oddolnie zawiązały się rady osiedli, które później były „zatwierdzone” przez Radę Miasta. Obecnie rady osiedla mają niewielką realną władzę, jednakże mogą dość sprawnie funkcjonować jako ośrodki artykułujące oddolne potrzeby i wywierające presję na rządzących. To właśnie dzięki ratajskim radom osiedli, które zawiązały sojusz, udało się zebrać 14 tysięcy podpisów mieszkańców pod wnioskiem o uchwalenie parku i dzięki oddolnej presji dokument ten przyjęła w styczniu br. Rada Miasta. Reforma przedstawiona w lipcu br. wprowadza

minimalny próg wielkości nowych rad osiedli – mają one zarządzać terenem zamieszkiwanym przez co najmniej 40 tysięcy mieszkańców – czyli częstokroć większym niż wiele gmin. Dotychczas większość z nich reprezentowała do 5–7 tysięcy mieszkańców, co umożliwiało efektywny kontakt z mieszkańcami.

Skonsolidowane rady osiedli mogą być odebrane od mieszkańców i zbiurokratyzowane. Ponadto planuje się nadać im „uprawnienia” głównie związane z edukacją, drogami czy bezpieczeństwem. Takie „wzmocnienie kompetencji” to nic innego, jak przerzucanie na niższą skalę niewygodnych obowiązków – teraz urzędnicy miejscy będą mogli odsyłać do rad osiedli mieszkańców, którzy pojawią się w magistracie, aby coś „załatwić”. Ponadto może zabić to społecznikowski charakter rad osiedli – osoby normalnie pracujące nie będą w stanie zasiadać np. w komisjach przetargowych na remonty szkół czy dróg. W ten sposób alternatywny ośrodek artykułowania potrzeb, mówienia o mieście jako całości może zostać spacyfikowany, a rady osiedla, najprawdopodobniej, przerodzą się w wylęgarnie partyjnych młodzieżówek<sup>13</sup>.

## Demokracja miejska

Innym argumentem używanym przez władze w batalii o skalę jest ten o niedemokratyczności rad osiedli. Wybory do nich, powtarzają miejscy urzędnicy, przyciągają niewielki procent wyborców. Mandat prezydenta oraz radnych miejskich, mówią, pochodzi z wyborów, a zatem to my jesteśmy prawnym przedstawicielem społeczeństwa. Argument ten ukazuje fundamentalny problem polskiej demokracji – skupia się ona na akcie wyborczym, a jednocześnie ignoruje lub wręcz obawia się bar-

12. Por. artykuł Arjuna Appaduraia, *op. cit.*

13. Por. Lech Mergler, *Bunt w mieście: reforma rad i osiedli*, 3 lipca 2010 [online]. Dostępny w internecie: <http://www.my-poznanacy.org/index.php/nasze-tematy/reforma-samorzadow/21-aktualnosci-reforma-samorzadow/411-bunt-w-miescie-reforma-rad-i-osiedli> [dostęp: 03.07.2010].





dziej bezpośrednich form współuczestnictwa obywateli w rządzeniu. To dlatego można zaobserwować konsekwentne wycofywanie się społeczeństwa z aktywnego (wyborczego) życia publicznego. Przy frekwencji często nieprzekraczającej połowy uprawnionych możemy powiedzieć, że obecnie żyjemy w „demokracji 50 procent”. Jednocześnie takie kurczenie się bazy społecznej demokracji może być w interesie partii politycznych i strategią utrzymania *status quo*<sup>14</sup>.



### Formalne prawa nie mają automatycznego przeniesienia na upodmiotowienie polityczne społeczeństwa.

Jak świetnie pokazuje James Holston na przykładzie Brazylii, formalne prawa nie mają automatycznego przeniesienia na upodmiotowienie polityczne społeczeństwa. Model obywatelstwa, przyjęty w Brazylii za przykładem amerykańskim i francuskim, przez długi czas dawał prawa wyborcze jedynie elicie (w 1933 roku elektorat stanowił 3,4 procent społeczeństwa). Paradoksem jest fakt, że rozszerzono je niemal na wszystkich Brazylijczyków pod rządami dyktatury wojskowej. Obok formalnych praw jednak, jak pokazuje Holston, najważniejszym czynnikiem „pogłębiającym” demokrację była urbanizacja i miejskie ruchy społeczne. Po pierwsze, dzięki dostępowi do edukacji coraz większa część społeczeństwa otrzymywała prawa wyborcze (aż do 1988 niepiśmienni nie mogli głosować). Co ważniejsze jednak, nowi mieszkańcy miast sami budowali swoje osiedla i domy – to, co w Pol-

sce nosi negatywną nazwę „samowoli budowlanej”, w Brazylii nazywa się dumnie *autoconstrução*. Dzięki oddolnemu zurbanizowaniu peryferii dużych miast Brazylijczycy „zaczęli uważać, że pomimo biedy ich podmiotowość polityczna oparta jest na realnych podstawach (stali się *stakeholders*) i zaczęli w ten sposób współuczestniczyć w życiu publicznym jako budowniczy miast, podatnicy i nowoczesni konsumenci”<sup>15</sup>.

Zakorzenieni w miastach, które sami wybudowali, Brazylijczycy rozsadzili dominujące struktury polityczne. Paternalizm władzy w Brazylii przejawiał się w pojęciu obywatelskości opartym na tym, co Holston nazywa „inkluzywną nierównością”. Z jednej strony, coraz szersze masy były politycznie upodmiotawiane, ale z drugiej – państwo różnicowało poszczególne grupy społeczne na podstawie ich miejsc pracy. Podzielono społeczeństwo na grupy zawodowe, które dzięki umowom zbiorowym miały odmienne prawa i przywileje. Przez to przestrzeń miejska była bardzo zhierarchizowana – „równiejsi” mieli większe prawa niż „równi” (np. nie musieli czekać w kolejkach). Podobnie było w okresie PRL-u, kiedy to państwo definiowało obywateli głównie jako „robotników”. Taka polityka „rządź i dziel” sprawiła, że związki zawodowe zaczęły coraz silniej bronić partykularnych interesów konkretnych grup, niejednokrotnie przeciwstawnych, i coraz bardziej odchodziły od swoich korzeni, kiedy to sprawa praw pracowniczych była postulatem uniwersalnym i opartym na szeroko rozumianym pojęciu dobra wspólnego. Nową ideą, która stała się takim nośnikiem dla dobra wspólnego właśnie, okazało się „prawo do miasta” – pojawiło się ono nawet w brazylijskiej Konstytucji Ludowej z 1988 roku. Została ona uchwalona pod presją miejskich ruchów społecznych i była iście demokratyczna – za 122 obywatelskimi poprawkami do konstytucji sta-

14. Por. Mark Purcell, *Recapturing Democracy: Neoliberalization and the Struggle for Alternative Urban Futures*, Routledge, Nowy Jork 2008.

15. Por. James Holston, *Insurgent Citizenship: Disjunctions of Democracy and Modernity in Brazil*, Princeton University Press, New Jersey 2008, s. 108. Por. również artykuł *Obywatelstwo zbuntowanych* Jamesa Holstona publikowany w tym numerze „Res Publici Nowej”.

ło aż 12 milionów podpisów złożonych przez 12 procent elektoratu<sup>16</sup>.

Przedtem, podobnie jak w Polsce, pojęcie „obywatela” zostało zagarnięte przez państwo i stało się elementem języka władzy. Najczęściej używane było w kontekście milicyjno-wojskowym: zawołaniem „obywatelu dokumenty” przywoływano do porządku. Po 1989 roku oddolna aktywność obywatelska zaczęła być tożsama z działalnością biznesową. Tak rozumie obywatelskość partia obecnie rządząca. Oddolne ruchy miejskie w Polsce, tak jak działo się w Brazylii, wytwarzają nowe przestrzenie obywatelskości. To wydarzenie o historycznej doniosłości. Najlepszym tego przykładem jest pojawienie się pojęcia „mieszczucha” jako formy pozytywnej identyfikacji. Jeszcze do niedawna nie było w języku polskim jednego słowa, takiego jak np. *urbanite* w angielskim, które opisywałoby mieszkańca miast. Kultura polska, wywodząca się z romantyzmu, jest fundamentalnie antymiejska, co najdobitniej wyraziła Maria Dąbrowska w swoich pamiętnikach, pisząc, że środowisko miejskie jest „obyczajowo wstrętne i tkwiące w zupełnej pustce duchowej i życiowej, ordynarne w najgorszym znaczeniu tego słowa (...). Kultura w Polsce była tylko na wsi, zarówno po dworach, jak po chałupach wiejskich. Miasta nasze (częściowo dlatego, że nie były nasze) wychowały poza garścią wartościowych robotników – tylko śmierdzące męty”<sup>17</sup>. Pojawiają się symptomy sugerujące, że zaczyna się to zmieniać.

Dominacja antymiejskiego dziedzictwa romantyzmu, jak pokazał Richard Sennett, nie jest tylko problemem polskim. Postuluje on, aby rozważyć ponownie ścisły związek między miastem (*city*) a obywatelskością (*citizenship*)<sup>18</sup>. Załączkiem tego mogą właśnie stać się miejskie ruchy społeczne, które już rozsadzają od wewnątrz skostniałe struktury.

Obecny system polityczny w dużej mierze został wykształcony podczas pierwszej fali demokracji, pod koniec XIX wieku i wywodzi się z procesu konsolidacji państw narodowych. Te przez ostatnie kilka dekad straciły swoją kluczową pozycję w sferze ekonomicznej, społecznej i kulturowej na rzecz innych instytucji – operujących na innej skali – lokalnej, kontynentalnej (np. Unia Europejska) oraz globalnej. Polityka jako bodaj jedyna dziedzina współczesnego życia pozostaje tutaj w tyle i wciąż skupiona jest na skali narodowej. Dlatego niewątpliwą jałowość większości obecnych sporów politycznych – kryzys demokracji i dominacja polityki symbolicznej (patrz konflikt o krzyże) – można zrozumieć jako problem skali.



Zdobycie przez My-Poznaniacy 9,36 procent głosów w tegorocznych wyborach samorządowych jest sukcesem tego ruchu w „przeskoczeniu” ze skali osiedlowej na ogólnomiejską.

Zdobycie przez My-Poznaniacy 9,36 procent głosów w tegorocznych wyborach samorządowych jest sukcesem tego ruchu w „przeskoczeniu” ze skali osiedlowej na ogólnomiejską. Okazało się, że ruchy obywatelskie faktycznie artykułują potrzeby mieszkańców, oraz, że powinny zajmować trwałe i istotne miejsce w ogólnomiejskim życiu publicznym<sup>19</sup>. Jednocześnie fakt, iż ze względu na sposób liczenia mandatów, tak dobry wynik nie przyniósł ani jed-

16. Por. Kacper Pobłocki, *Prawo do miasta*, „Tygodnik Powszechny” 2010, nr 14, s. 28.

17. Maria Dąbrowska, *Dzienniki*, t. 2, Warszawa 1988, s. 290.

18. Richard Sennett, *Upadek człowieka publicznego*, Muza, Warszawa 2009. Więcej na temat związku między urbanizacją a demokracją w: Lech Mergler, Kacper Pobłocki, *Nadchodząca rewolucja miejska*, „Le Monde Diplomatique” 2010, nr 55, s. 14-15.

19. Adam Kompowski, *My-Poznaniacy bez mandatu. Ale są bardzo potrzebni!*, „Gazeta Wyborcza” (Poznań) 2010, 23 XI.





nego z 37 miejsc w Radzie Miasta pokazuje, iż jest to dopiero początek długiego procesu „pogłębiania” demokracji przedstawicielskiej poprzez przenoszenie środka politycznej ciężkości ze skali narodowej na skalę miejską. Jak pisze Arjun Appadurai, nie da się tego osiągnąć bez działań wykraczających poza szczebel lokalny. Nie tylko obowiązująca ordynacja wyborcza, którą zmienić można jedynie działaniem ogólnopolskim, faworyzuje partie polityczne. Fakt, iż lwia część kampanii samorządowej odbyła się w mediach ogólnopolskich, które siłą rzeczy nie są w stanie służyć jako forum debaty o lokalnych sprawach i mają tendencję do skupiania się na polityce symbolicznej, dowodzi tego jak mocno polska „demokracja lokalna” zdominowana jest przez skalę narodową. Z drugiej strony, tam gdzie istnieją silne ruchy społeczne, kampania samorządowa w lokalnych mediach, które docierają do około jednej trzeciej osób śledzących życie polityczne, obracała się w znacznej mierze wokół postulatów podnoszonych przez organizacje obywatelskie. I to jest istotna nowość.

W trakcie ostatnich kilku miesięcy ruch My-Poznaniacy wyszedł poza kontradyskursy wobec dominującego sposobu mówienia o mieście i stworzył własną, nową przestrzeń semantyczną. Relacje władzy w dyskursach miejskich odwróciły się. Nie tylko w Poznaniu politycy zaczęli ostatnio powtarzać postulaty ruchów miejskich, wierząc, że jest to sposób na znalezienie „wspólnego języka” z mieszkańcami. Pełniący obowiązki prezydenta Łodzi (poprzedni został odwołany w referendum) pod koniec września ogłosił konsultacje społeczne w sprawie budżetu. W spocie reklamowym zachęcał mieszkańców

do udziału w rozmowach, mówiąc, że teraz to „Łodzianie będą decydować”. W ten sposób przejął on hasła ruchu „Łodzianie decydują”. Miejmy nadzieję, że coraz silniejsza obecność ruchów obywatelskich w przestrzeni publicznej miast stanie się gwarancją trwałości tych zmian. Transformacja ostatnich 20 lat toczyła się w wielkich miastach z reguły (choć nie zawsze) mniej boleśnie niż na „prowincji”, stąd opowieść o instytucjonalnej demokracji i wolnym rynku mogła rozwijać się tam długo bez ryzyka społecznej kompromitacji. Ingerencja deweloperów w tkankę miast oraz antyspołeczna polityka lokalnych władz w ostatnich latach, które leżą u podłoża obecnej mobilizacji obywatelskiej, zmieniły to. W tym sensie polska „transformacja” właśnie skończyła się i dlatego potrzebna jest dyskusja nad możliwościami nowych rozwiązań. Zaczniemy zatem rozmowę o demokracji miejskiej – takiej, która nie jest wyłącznie fasadowa, symboliczna czy rytualna, ale właśnie – prawdziwie otwarta, transparentna, egalitarna, konsensualna, dialogiczna, prospołeczna oraz sprawiedliwa. ◀

Lech **Mergler**

(1955), publicysta, społecznik, wiceprezes Stowarzyszenia My-Poznaniacy. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” i „Le Monde Diplomatique”.

Kacper **Pobłocki**

(1980), wykłada *urban studies* na Uniwersytecie w Utrechcie oraz antropologię na UAM w Poznaniu, stale współpracuje z kierowanym przez Davida Harveya The Center for Place, Culture and Politics przy Uniwersytecie Miejskim w Nowym Jorku.